

Emancypacja w fabryce

Natalia Jarska

Marks, Engels, Lenin, a z nimi – od swego zarania – ruch socjalistyczny i komunistyczny obiecali kobietom równouprawnienie. Nierówność płci marksiści postrzegali w kontekście stosunków ekonomicznych. Jak twierdził Engels, jej źródłem było pozbawienie kobiet udziału „w produkcji”. Dlatego emancypacja płci miała dokonać się przez pracę.

Schemat ten został przejęty przez polskich komunistów, którzy – ugruntowawszy swoją władzę – poczęli te hasła głosić i realizować. Ideologia przyszła im z pomocą: oto w 1950 roku ruszyło wielkie przedsięwzięcie przemysłowienia Polski, czyli plan sześć-cioletni. Dziesiątki nowych fabryk i zakładów, wznoszonych z rozmachem, potrzebowały setek tysięcy nowych rąk do pracy. Przybywający do miast mieszkańcy przeludnionych wsi nie mogli zaspokoić tych potrzeb. Chwycić za kielnię i stanąć przy maszynie musiało także – jak optymistycznie zakładano – ponad milion kobiet. Tak zwana „produktywizacja” kobiet oznaczała przede wszystkim politykę zwiększania zatrudnienia, z naciskiem na zawody robotnicze. Drugim jej hasłem stało się angażowanie kobiet do prac do tej pory uznawanych za męskie (tzw. nowych zawodów), trzecim wreszcie – awans.

Przedsięwzięcie „produktywizacji” przerażało swoją skalą nawet najwyższych postawionych decydentów. Dlatego wytoczono oręż propagandy – już od początku 1949 roku prasę, nie tylko kobiecą, zalała fala wizerunków szczęśliwych robotnic, uśmiechniętych murarek, „wyemancypowanych” (również z nędzy) przodownic pracy. Reżimowa kobieca organizacja, Liga Kobiet, organizowała spotkania, na których nakłaniała kobiety do podjęcia pracy. W jednym z miast

Fot.: PAP/Jerzy Baranowski

► Traktorzystka to najczęściej przywoływany symbol stalino wskich prób emancypacji kobiet, dla wielu – zaprzeczenie tradycyjnie rozumianej kobiecości; a czym była ta praca dla kobiety z plakatu? Na zdjęciu: Magdalena Figur



o możliwościach zdobycia pracy informowano przez megafony dworcowe.

Po kilku latach realizowania tej polityki partia (a za nią centralne instytucje państwowe) wprowadziły nowe instrumenty, mające zapewnić jej większą skuteczność. Okazało się bowiem, że lokalne władze – także partyjne – nie przejęły się wystarczająco nakazami „produktywizacji”. Skarżono się na przykład na związki zawodowe, że „nie żyją zagadnieniem produktywizacji kobiet. Wykazały to ostatnie sprawozdania, w których nie ma żadnej wzmianki o pracy kobiet. [...] Tow. Lenin powiedział, że nie można sobie wyobrazić budownictwa socjalistycznego bez udziału kobiet. W praktyce jednak sprawa zupełnie inaczej się przedstawia, słowa tow. Lenina są nam dalekie”. Wobec takich problemów władze sięgnęły po bardziej zdecydowane środki. Oto – w myśl uchwały rządowej z sierpnia 1952 roku – we wszystkich gałęziach przemysłu i zakładach miało wprowadzić obowiązkowe odsetki zatrudnionych kobiet, dbać o ich szkolenie zawodowe. Innym ważnym krokiem była dokonana w 1951 roku zmiana przepisów dotyczących ochrony pracy kobiet: przede wszystkim zezwolono na zatrudnianie ich w górnictwie pod ziemią oraz na pracę nocną (to ostatnie zresztą tylko sankcjonowało stan faktyczny).

Rewolucja w zatrudnieniu

Politykę tę można określić jako rewolucyjną. Praca zawodowa kobiet nie była wprawdzie nowością; już od kilku dziesięcioleci Polki pracowały, wiele z nich jako robotnice. W niektórych miastach – w szczególności w Łodzi – tradycje pracy robotniczej kobiet sięgały XIX wieku. A jednak zmiana, którą miał przynieść projekt stalinowski, stanowiła ilościowy i jakościowy przełom. Setki tysięcy nowych pracownic musiały rekrutować się także spośród mężatek i matek – grup do tej pory stanowiących mniejszość wśród pracujących kobiet. Dzięki zdobyciu kwalifikacji i lepiej płatnej pracy kobiety uciekłyby też od zajęć źle wynagradzanych, pogardzanych, po prostu – „kobięcych”.

Przedsięwzięcie „produktywizacji” udało się rządzącym tylko częściowo. „Sukces” miał charakter głównie ilościowy: w latach 1950–1955 pracę podjęło ponad 900 tys. kobiet, w tym niemal 400 tys. znalazło zatrudnienie w przemyśle, przeważnie jako robotnice. Nie można tego jednak przypisać szczególnemu entuzjazmowi dla ideologicznego aspektu „produktywizacji”. Większość kobiet poszła do pracy nie dlatego, że dały się przekonać aktywistkom Ligi Kobiet. Wiele musiało zarabiać na siebie, duża część także na swoje rodziny. Dziesiątki tysięcy kobiet poszukiwało pracy od dawna, wśród nich rzesze wojennych wdów. W planie sześcioletnim pojawiła się możliwość, którą wykorzystywały. Zniknęło bezrobocie, które było zmorą końca lat czterdziestych. W niektórych miejscach napływ kobiet do pracy przekraczał nawet oczekiwania i plany.

Na nowej polityce skorzystały przede wszystkim młode kobiety ze wsi. Przyjazd do szkoły przemysłowej lub wprost do fabryki dla wielu okazał się rzeczywistym awansem. Bycie robotnicą, w szczególności wykwalifikowaną, pozwalało uciec od jeszcze cięższe-



Fot. PAP/Wojciech Kondracki

go losu na wsi. Podobne doświadczenia stały się udziałem dziewcząt z biednych miejskich rodzin; przed wojną pewnie stałyby się służącymi. Skromne kilkusetzłotowe zarobki zaś – przeznaczone nieraz na pierwszą szminkę czy sukienkę – to symbol usamodzielnienia się. „Dla mnie dopiero tu zaczęło się życie. Tu wyspałam się jak człowiek w czystej pościeli. Tu najadłam się do syta. Tu po raz pierwszy ktoś zainteresował się moim kaszlem i wyleczono mnie z wszystkich chorób” – wspominała robotnica cytowana w wydanym w 1972 roku tomie *Drogi awansu w mieście. Pamiętniki*. Niektórym udzielała się atmosfera entuzjazmu i optymizmu

kreowana przez propagandę: uwierzyły, że będą budować lepszą przyszłość. Prawdopodobnie jednak większość tych świeżo upieczonych robotnic nie przejmowała się propagandą równouprawnienia, część nawet jej nie знаła.

Drwiny i śmieszki

Pozytywne doświadczenie awansu nierazko niweczyły warunki zastane w fabryce i w miejscu zamieszkania (w hotelu robotniczym). Praca robotnika w warunkach ogromnego nacisku na wykonanie planu gospodarczego, nieliczenia się z potrzebami i możliwościami pracowników, okazywała się nieraz zbyt ciężka. Robotnice czuły się rozczarowane brakiem obiecanego szkolenia i awansu, niskimi płacami. Często więc pracę porzucali. Przyczyną odejścia bywały też szykany, których doświadczały. W wielu fabrykach bowiem wcale nie chciano pracowników płci żeńskiej. Jak raportowały funkcjonariuszki Wydziału Kobięcego KC PZPR, kierownik jednej z warszawskich budów miał stwierdzić, że „wprawdzie przyjmuje do pracy kobiety, ale wolałby mężczyzn, gdyż brygada kobieca wykonuje zaledwie 30 proc. normy”. Inny kierownik budowy „szykanował kobiety, namawiał innych, by kobietom dawali takie roboty, by mogły zarobić najwyżej 100 zł”.

Ze szczególną niechęcią spotkały się te robotnice, które zdecydowały się na pracę w „męskich” zawodach. Były one bardzo różne: tokarz, spawacz, murarz, ale też kierowca, maszynista czy konduktor. Robotnice, które podjęły zatrudnienie w tych specjalnościach, zwykle cenily

► Przewodzący kobiecy zespół trójkowy w składzie Halina Betr, Stanisława Trotkiewicz i Józefa Prusińska, lata pięćdziesiąte XX wieku





► Brygadzysta Stefan Batarski nadzoruje pracę robotnicy z działu montażu parników; Suchedniowska Huta „Ludwików”, Kielce, 1947 rok

Fot. PAP

sobie swój wybór. Przypadek sprawił, że do takiej pracy trafiła też Anna Lubczyk (później Walentynowicz): „W stoczni przedstawiono mi wiele możliwości pracy, ale najbardziej imponowała mi praca spawacza w blasku płomieni, w snopach iskier”. Przyjęto ją na kurs. Wkrótce zarabiała już ponad 3 tys. zł, co było wówczas wysoką pensją.

Korzyści z podjęcia pracy w niektórych „męskich” zawodach bywały okupione znośnym szyderstwem, niesprawiedliwego traktowania, a nawet odrzucenia. W kopalni „Silesia” górnicy odmówili pracy z kobietami i wysłali je z powrotem na powierzchnię. Działaczki PZPR relacjonowały doświadczenia łódzkich robotnic, które zatrudniono jako śrubowniczki: „Pracę tą dotychczas wykonywali wyłącznie mężczyźni [...]. Początkowo utrudniali pracę tym kobietom inni śrubownicy mężczyźni, którzy zamiast pomóc, drwili i śmieszkami zniechęcali je”. Nierzadko też wykwalifikowane robotnice kierowano do prac tym kwalifikacjom nieodpowiadających. Niektóre murarki pracowały jako sprzątaczkę, cerowały odzież robotnikom.

Być może właśnie opór wobec zatrudniania kobiet w „męskich” zawodach

spowodował, że pracujących w nich robotnic było stosunkowo niewiele – raczej nie więcej niż 50 tys. Kobiety pracowały wszak dość licznie w „męskich” branżach, ale większość wykonywała prace pomocnicze, niewykwalifikowane – na przykład gońców czy sprzątaczek. W stolicy na dwieście przeszkolonych kobiet w 1952 roku tylko pięć zostało murarkami. Pracujących pod ziemią górniczek było nie więcej niż kilka tysięcy. Tymczasem ówczesna propaganda starała się stwarzać wrażenie, że kariera w „męskim” zawodzie jest dostępna i stała się udziałem bardzo wielu kobiet.

Część robotnic porzucała też swoje z trudem zdobyte stanowiska. Inne przenoszono do „łżejszych” prac, motywując to przepisami o pracach wzbronionych – i tak już zliberalizowanymi. Robotnice zatrudnione w Hucie Baildon przy dobrze płatnej, ale „męskiej” pracy zostały przeniesione na inne stanowiska, przeciw czemu protestowały, „dowodząc, że czują się na siłach pracować na równi z mężczyznami, czego dowodem jest to, że w okresie swej pracy nie miały żadnego nieszczęśliwego wypadku z tytułu zajmowanego stanowiska pracy”. Takie

argumenty zwykle jednak okazywały się bezskuteczne.

Podobnie skończyła się dla wielu robotnic przygoda z „kierowniczym stanowiskiem”. Polityka awansu zawodowego kobiet poniosła największą porażkę. Kobiety awansowano rzadko, zazwyczaj przy okazji obchodów Międzynarodowego Dnia Kobiet – 8 marca. Na trwałe zresztą stało się to częścią rytuału tego święta. Objęcie przez kobiety stanowisk dających im władzę było nie do pogodzenia z „naturalnym” porządkiem, w którym wyższe miejsca w hierarchii i władza przysługiwały mężczyznom. Awansowane robotnice były bojkotowane, co doprowadziło wiele z nich do rezygnacji ze stanowisk.

Irena do domu?

Hasła „produktywizacji” udało się więc zrealizować tylko częściowo. Stało się tak z kilku powodów, wśród których za najważniejszy można uznać opór kulturowy. Duża część społeczeństwa nie była przekonana co do zasadności podejmowania pracy przez kobiety, zwłaszcza żony i matki. Nawet partyjni działacze okazywali się często „odporni” na propagandę równouprawnienia w wersji stalinowskiej. Przeciętnemu robotnikowi – mężczyźnie – nie mieściło się w głowie, że kobieta może pracować jako tokarz czy szofer, a już na pewno nie akceptował kobiety jako przełożonej. Uosobieniem takiej postawy jest bohater wyświetlanego w 1955 roku filmu *Irena do domu* – majster w fabryce, próbujący uniemożliwić swojej żonie podjęcie pracy zawodowej. Stosunek kobiet do różnych elementów „produktywizacji” był nieco mniej niechętny, ale to za mało, by rewolucja się udała.

Idee emancypacji i równości płci upadały jednak także w zetknięciu z prozą życia. Obiecanych żłobków i przedszkoli było wciąż jak na lekarstwo, nie mówiąc już o ilości i jakości usług, które miały odciążyć kobiety w prowadzeniu domu. W połączeniu z codziennym stanem w kolejkach, nieraz fatalnymi warunkami życia i pracy okazywało się to dla wielu kobiet barierą nie do pokonania.

Urodzenie dziecka nieraz zmuszało je do porzucenia pracy. Na żłobek mogli liczyć rodzice zaledwie 5 proc. dzieci w miastach, na przedszkole – 19 proc. Kobiety z niewielkiego miasteczka pisały w liście do Polskiego Radia: „Takie duże miasto jak Września dla swoich kobiet nie ma pracy ani żłobka. [...] Owszem, parę kobiet pracuje, ale nie każda ma szczęście mieć matkę do piastowania dzieci, albo wcale dzieci nie mieć, a które mają, mordują się w domu i głodują razem z dziećmi”.

Nierzadko robotnice pozostawiały dzieci same w domu, zapewne nie mogąc zrezygnować z zarobków. Z wrocławskiego Paławagu, gdzie brakowało żłobka, raportowano: „W lecie jeszcze jako tako, kobieta zawija dziecko i idzie na 6 godzin do pracy”.

Planowana sieć „punktów usługowych” nie została stworzona. W zakładach pracy powstawały co prawda liczne stołówki, bufety i sklepiki (w 1954 roku działało ponad 9,5 tys. stołówek, w których żywiło się pół miliona pracowników), nie zastąpiły one jednak tradycyjnego domowego gotowania i spożywania posiłków. Problemem była nie tylko jakość serwowanych potraw, lecz także ich ceny, często za wysokie dla robotniczych kieszeni.

Wkrótce też okazało się, że kobiece ręce do pracy nie są już państwu tak bardzo potrzebne. „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść” – komentowała czytelniczka „Kobiety i Życia” w 1956 roku. Na fali politycznej odwilży lat 1955–1956 wybuchły dyskusje na temat zasadności pracy zawodowej kobiet, szczególnie mężatek i matek małych dzieci. Zbiegło się to z końcem planu sześcioletniego i wyhamowaniem wielkich akcji werbowania do pracy. Pracę zawodową kobiet kwestionowano z różnych powodów – nadmiernego obciążenia z tytułu pozazawodowych ról (dom i dzieci), autentycznego wyczerpania robotnic w stalinizmie, patologii związanych z funkcjonowaniem hoteli robotniczych (gdzie zamieszkiwały młode robotnice). Pracę kobiet uznawano nawet za nieopłacalną dla państwa albo prowadzącą do „chuligaństwa” młodzie-

ży. Hasło „Irena do domu” – zaczerpnięte ze wspomnianego filmu – znalazło się na ustach dziennikarzy, politycznych decydentów, ale i robotników. Ten klimat nieprzychylny kobietom skutkowało zwolnieniami z pracy. Zatrudnienie w zawodzie straciło też wiele robotnic wykonujących „męskie” prace. Bezskutecznie przeciw temu protestowały.

Mimo tego odwrotu od „produktywizacji” pewne jej konsekwencje okazały się trwałe. Liczba pracujących kobiet nie mogła się radykalnie zmniejszyć. Niezależnie od ideologicznej woli, kobiety musiały pracować z powodów ekonomicznych. Z tych samych powodów państwo tej pracy potrzebowało – nie mogąc na tyle podnieść płac mężczyznom, by byli w stanie sami utrzymać rodziny. Sta-

linizm wpłynął też – o czym rzadko się pamięta – na upowszechnienie się pracy kobiet w niektórych zawodach, na przykład konduktorki. To, co było już faktem, wciąż jednak kwestionowano. Robotnicy (w tym wiele robotnic) tęsknili za modelem rodziny, w której kobieta zajmuje się domem i dziećmi, mężczyzna zaś zarabia na utrzymanie. To już jednak w praktyce coraz bardziej odchodziło w przeszłość. ❀

dr Natalia Jarska – historyczka, pracownica Biura Edukacji Publicznej IPN, współredaktorka (z Janem Olszkiem) tomu *Pleć buntu. Kobiety w opozycji społecznej i opozycji w Polsce w latach 1944–1989 na tle porównawczym* (2014)

► Wanda Kostrzewa, produkująca traktorzystka w Państwowym Ośrodku Maszynowym nr 143 w Kozerkach k. Grodziska, kwiecień 1952 roku

